



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

### Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80 W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartał tal. pr. 1 sgr. 20.

## POGA WĘDKA.

Zima idzie...

Jak ongi wołano: „Tatary idą”, tak obecnie alarmujemy się wołaniem: „Zima idzie”; to także Tatar w swoim rodzaju, groźny, niebezpieczny, zawzięty.

Pierwsze śniegi i mrozy spadną na nas wkrótce, jakkolwiek św. Marcin na tradycyjnym białym koniu w tym roku nie przyjechał; im później przyjedzie, tem lepiej dla biedy i nędzy ludzkiej, która od chłodu i głodu drży, kuli się i strwożona ku niebu i sercom bliźnich spogląda.

Każda zima bywa ciężką, ale w tych wyjątkowych warunkach dzisiejszego położenia, w tym zastoju na każdym polu, tegoroczna zapowiada się gorzej, niż poprzednie.

Jedno przynajmniej niebezpieczeństwo dzięki zimie przestanie nas straszyć, to jest cholera; skoro nie dowlokła się do naszych progów, podążając chyłkiem od Dunaju ku Wiśle, to już chyba w tym roku zima jej nie dopuści.

Tegoby jeszcze potrzeba, aby do wszystkich dolegliwości, które nam głowę i serce uciskają, przysła kłeska epidemii...

Zanim gorsze — złego nie zluzuje, żyjemy sobie dawnym trybem w Warszawie i jak co roku o tej porze przygotowujemy cały szereg zabaw, rozrywek, przyjemności w filantropijnych przeważnie celach; trzeba się czemś przecie w tych ciężkich czasach pocieszać.

Więc najpierw pocieszmy nas koncert studencki, urządzany niezmordowaną w tym kierunku zasługą dyrektora Quattriniego; z góry wie się dobrze, że na koncercie studenckim sala będzie za-

pełnioną; i cel, i program przyciągnie tłumy, które 28-go b. m. póspieszą do sal redutowych. Na estradzie staną nasi piewszorzędni artyści, gotowi zawsze do ofiar swego talentu; jednego tylko zabraknie: tego, który przez długie lata czarem swojego słowa i deklamacyi zachwycał zwykłe słuchaczy i dla młodzieży pierwszy spieszył z usługą, zabraknie Królikowskiego....

Nie usłyszę już owych serdecznych, grzmiących oklasków, jakie witały go wchodzącego i przywoływały po skończeniu bez ustanku na estradę. Sam talent jego następców nie wystarczy do nawiązania tak ścisłych węzłów artysty z publicznością; długich lat zażyłości nie zastąpi chwila entuzjazmu.

Jednocześnie z koncertem studenckim Muzeum rolnictwa i przemysłu otworzy drugą z rzędu wystawę w nowym gmachu; będzie ona na wielką skalę urządzona, zajmie prawie wszystkie kąty, a przemysł i rękodzielnictwo stanie znów do publicznego popisu, jak niedawno temu rolnictwo stawało.

Wystawa będzie przez cały dzień otwartą, a wieczorem oświetloną; z wystawą łączyć się będą improwizowane koncerciki, gdyż na fortepianach wystawowych grać mają uproszeni artyści.

I tu powodzenie nie zawiedzie; przepowiadać go można również kiermaszowi Towarzystwa Dobroczynności, które w cyrku Cinisellich układa już pomosty, stawia namioty, wznosi scenę i przygotowuje obfity program rozmaitych uciech i niespodzianek. Będą koncerty, żywe obrazy, pochody kostyumowe, pantominy komiczne, deklamacje, turnieje szermierskie... Czego nie będzie! — i to podobno przez dziesięć dni, czy też przez dwa tygodnie, trwać ma ów filantropijny jarmark. Nie jestem zwolennikiem tego rodzaju hałaśliwych, tłumnych, jaskrawych z konieczności zebrzań i zabaw; ale dzisiejszy kiermasz zastąpił wyexploatowany już zanadto bazar

i okazał się pod względem dochodu szczęśliwym pomysłem. W roku zeszłym wspólnie z wystawą kucharską przyniósł on około 20,000 rs. dla starców i kalek; ta liczba zamyka mi usta i od wszelkich uwag wstrzymuje. Kiedy chodzi o biednych, należy i na kiermaszu zbierać grosze, gdzie i jak się uda.

W tym roku z programu ubędą tylko niestosowne lub zbyt cenne punkta, jak kabalarki i cyganki wróżące oraz przedstawienia amatorskie.

Amatorowie, którzy sobie zrywali piersi na cyrkowej scenie przed słuchaczami, rozumiejącami za ledwie piąte przez dziesiąte, ograniczą się do swojej scenki w Teatryku Dobroczynności i w Grudniu rozpoczną szereg przedstawień od Prologu Deotymy, nieznanego krotchwili p. Zygmunta Przybylskiego, młodego a zdolnego autora popularnej dziś komedyi „Wicek i Wacek”, która wypełnia od kilku dni salę Rozmaitości, oraz żywych obrazów do Sienkiewicza „Ogniem i mieczem”.

Teatryk Dobroczynności ma swoją długoletnią tradycją, miał swoje świetne sezony przed laty, ścigał publiczność i przynosi znaczny stosunkowo dochód ubogim.

W tym roku zabrano się do odświeżenia, odnowienia sceny, zwerbowania nowych sił amatorskich, ułożenia zajmującego repertoaru; jakby to wszelako dobrze było, gdyby komitetowi teatralnemu przychodziła w pomoc prywatna inicjatywa!

Tak często grywa się na domowych scenkach, nawet z artystycznym, nietylko dyletanckim, rezultatem; możnaby przyjemność własną połączyć z pożytkiem cudzym, powtarzając owe prywatne przedstawienia, publicznie lub w zamkniętym kółku na scenie ubogich pod godłem: *Res sacra miser*.

Szkoda przecie zachodu dla samej tylko zabawy, skoro z niej można zrobić filantropijny także użytek. Umniejszyłoby to trudów, pracy i starań bardzo żmudnych i kłopotów komitetowi

teatru amatorskiego, który ma do zwalczania wiele trudności, musi rozwijać wiele energii organizacyjnej i dyplomacji towarzyskiej, aby luźne i wielce krnąbrne a drażliwe zwykle żywioły, jakimi bywają amatorskie talenta i ambicje, w całość skupił i w komplecie utrzymał.

Mój projekt poddaję łaskawej uwadze mam, cioci, ojców i wujaszków, którym na imięninę, urodziny etc. sprawiamy w domu siurpryzy i urządzają teatru amatorskie domowe.

Publiczność nasza łakomą jest na estetyczne wrażenia; teatr, koncert, obrazy pociągają ją zawsze najpewniej, skoro tylko czemś szczególniejszym zainteresować potrafią.

Od czasu, kiedy p. dyrektor Noskowski dopuszczony został do dochodu z wieczorów Towarzystwa Muzycznego, sale redutowe natłoczone bywają na wszystkich Środach i Piątkach a inwencya głównego kierownika zdobywa się na oryginalne i skuteczne pomysły zwabiania jaknajwiększej ilości melomanów, którzy więcej oczyma, niż uszami, sądzą o muzyce i jej wykonawcach.

W dzień św. Cecylii, podobnie jak w roku zeszłym, członkowie Towarzystwa Muzycznego będą mieli wyjątkowe *gaudium*; w szeregu żywych obrazów, ilustrowanych odpowiednimi utworami orkiestrowymi, zobaczą wielkich mistrzów muzyki. Każdy obraz układa inny artysta; wytworzy to zarazem pewną zajmującą konkurencją. Jestem przekonany, że szpilki trudno będzie wciśnąć na cwem widowisku, urządzonym na cześć Patronki muzyki, a na pożytek kassy Towarzystwa, która przed niedawnem jeszcze była kassą prawdziwie muzykalną, bo w niej echo, jak w pustce grało.

Oprócz orkiestry amatorskiej będziemy mieli wkrótce wzorowy chór amatorski; władze zatwierdziły towarzystwo śpiewacze pod godłem: „Lutnia“, które powstaje z inicjatywy zdolnego muzyka i kompozytora p. Maszyńskiego.

Wizyta lwowskich „Lutnistów“, których śpiewem zachwycaliśmy się z estrady koncertowej, nie pozostanie tedy bez śladu u nas; zachęciła ona pewne grono miłośników zbiorowego śpiewu do spróbowania, czyby u nas nie dało się złożyć męskiego kwartetu i zestroić się w harmonii głosów.

Jestem dziś w tak optymistycznym usposobieniu, że wierzę we wszelkie sukcesy, więc i warszawskiej „Lutni“ przepowiadam dobrą przyszłość; kto jakimtym rozporządza basem lub tenorem, pójdzie się nawiązać, jako struna tego nowego instrumentu, któremu życzę, aby rozbrzmiewał głośno, czysto, zgodnie i jaknajdłużej.

Pierwsze to towarzystwo śpiewacze zorganizowane u nas w osobną korporację z wyłącznym celem uprawiania śpiewu chóralnego; powoli, naśladowując piękny przykład Niemców, zawiązywać będzie można po prowincyi podobne grona śpiewaków na wzór *Gesangvereinów*, które pod artystycznym, towarzyskim a nawet higienicznym względem mają swoje zasługi i znaczenie; nie tylko bowiem śpiew uprzyjemniać może niejedną chwilę nudnego życia, ale wogóle wyrabianie głosu korzystnie wpływa na wzrost klatki piersiowej i gymnastykę płuc. A te piersi, zwłaszcza młodzieży naszej, wcale nie bywają „krojone na miarę Fidyasza“ zakłęśte to i wąskie najczęściej, wątłe i słabe, o krótkim oddechu; tembardziej trzeba dbać o nie, aby niedołęztwu fizycznemu nie pozwolić na większy rozwój.

Gardłowałem zawsze za reformą fizycznego wychowania naszej młodzieży od lat najmłodszych, bo w zdrowiu ciała najpewniejsze mieszkanie dla zdrowego ducha.

Ten pogląd wpływa też na moje odmienne poglądy w kwestyi projektowanych zabaw dziecięcych. Mimo całą opozycją, postanowiono przy współudziale ludzi kompetentnych i odpowiedzialnych za swoje zdanie od przyszłej Niedzieli rozpocząć szereg, nie *zabaw* (ten wyraz zanadto podejrzany i błędne budzi domysły) ale rozrywek i gier dziecięcych dla maleństwu od sześciu do dwunastu lat.

Widziałem na naradzie w Tattersalu pedagogów, jak pp. Dygasiński i Nowicki, higienistów, jak Dr. Fritsche, specjalistów w gimnastyce, jak

p. Olszewski, obok innych, którzy wszechstronnie rozbiegali warunki za i przeciw projektowanym zebraniom dzieci, i przyszedłem do przekonania, iż z najlepszą intencją i największą ostrożnością roztrząsano tę kwestyą.

Program zawiera głównie ćwiczenia ciała; tańce wykluczone, aby walczykiem i polką nie zawracać młodych główek; wesołość utrzymywać będzie skoczna muzyka, przy której dzieci na dużym płóciennym dywanie wykonywać będą rozmaite zbiorowe ewolucje, próbować swoich sił i zręczności, bawić się piłką, maszerować w pochodach i t. p.

Rodziców i opiekunów upraszać się będzie, aby malcy w zwyczajnych sukienkach przychodzili na owe rekreacje; jaknajwiększa prostota i skromność jest koniecznie wymagana; nie chodzi bowiem o popis strojów, o wystawę dzieci, ale o ich rozrywkę i pożytek. W Ogrodzie Saskim i na przechadzkach publicznych dla próżnych matek dość miejsca do takich nagannych ekspozycji.

Cała sala skrapiana ma być i odświeżana wodą leśną z odwaru jodłowych iglic, na zakończenie zaś proponowane są mgliste obrazy, któreby malców zabawiały i pożytecznie oswajały z fauną, florą, geografją, naukami przyrodniczymi, w najprzystępniejszej formie, metodą poglądową.

Nie widzę, co tak złego i niebezpiecznego mogłoby się znaleźć w granicach *takich* tylko rozrywek dziecięcych; zresztą stały nadzór nad temi świątecznymi rekreacyami objął esobny komitet doświadczonych ludzi, ojców rodzin, którzy nie dosiadają, aby się wkradły jakieś nadużycia i szkodliwe dla moralnego i fizycznego zdrowia dzieci naszych czynniki.

Nastawajmy na kostyumowe baliki paniczów i panienek, na zbytki w ubraniu, przesadę w zabawach, na drażnienie próżności dziecięcej; ale odróżnijmy lepiej złe od dobrego, szkodliwe od nieszkodliwego. Niechaj dzieci mają swoją rozrywkę zdrową, wesołą, pożyteczną, bo tak czy owak mieć ją muszą, a lepsza ona zorganizowana pod okiem starszych kierowników na pewnych racjonalnych zasadach, aniżeli przypadkowa i wszelkiego wychowawczego wpływu i kontroli pozbawiona.

I znowu mam jakieś dobre przeczucie, że dobrze będzie pomimo złych przypuszczeń, a dla przekonania się, czy nie jestem za wielkim i za pobłażliwym optymistą, będę sam chodził co niedziela bawić się z dziećmi i przypatrywać argusowem okiem wszystkiemu.

Zdarzyło się tak szczęśliwie, że w samych różowych barwach mój dwutygodniowy kalejdoskop układa mi mozaikę tej pogawędki; dla tego może nowa „Kolenda“ dla gospodyń na rok przyszły, wydana przez p. Lucynę Cwierciakiewiczową wydaje mi się najlepszą ze wszystkich dotychczasowych. Nie powinienem może wyrokować o niej, ale wydawczyni ma reputacją tak ustaloną jako wyrocznia spraw kulinarnych i gospodarskich, że wystarczy samo doniesienie, iż znowu jakaś ewangelia z nieśmiertelnymi prawdami i tajemnicami kuchni i spiżarni, pod jej firmą się pojawiła, aby czytelniczki pospieszały do księgarni krajowych i zagranicznych—rozchwycić cały nakład.

Boże, jako kobieta chciałbym być autorką 365 obiadów, albo... Modrzejewską; miałbym najszerszą popularność w jednym lub drugim kierunku, a w obu największą ilość spotrzebowywałbym... liści bobkowych.

Zahaczywszy o literaturę i sztukę, winienem wspomnieć o nowym konkursie *Tygodnika Ilustrowanego*; tym razem nie pióra autorów, ale ołówki rysowników wezwane zostały do turnieju. Chodzi o ilustracyę, rysunek na temat dowolny, rodzajowy i historyczny, nad którym znowu wyrokować będzie plebiscyt.

Laureaci dostaną po 100 rs. nagrody, oprócz zwykłego honorarium za swoje odznaczone prace.

Quis.

## NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— Potrzeba ochron wiejskich, jest jedną z bardzo naglących naszych spraw wewnętrznych. Rokrocznie znaczny procent dzieci wiejskich ginie śmiercią okrutną, z braku potrzebnego nad nimi dozoru, i nie pierwszy to raz podnosi się w piśmie naszym głos wzywający do spełnienia tego, nie już obywatelskiego, ale ludzkiego, obowiązku. Ciężkie czasy nic temu nie stoją na przeszkodzie, bo wydatek to jest tak mały, zwłaszcza jeżeli go się wspólnie z gminą poniesie, że trudno go liczyć za przeszkodę, któraby rzecz wstrzymywała. Przeszkoda musi się kryć w czemś innym—i czy czasem nie w ociążałości leniwej tych, do których moralne przewodnictwo tu należy? czy nie w braku dobrych chęci—nie w braku zrozumienia ważności rzeczy pod względem wielorakim? Obowiązek inicjatywy i bezpośredniego zajęcia się tą rzeczą przypada na dział świętych powinności kobiety z klas inteligentnych. Ma się w sercu jakoby wielką miłość sprawy ogólnej, ma się w sercu jakoby wielkie pragnienie służenia jej; a tu przecież potrzeba tylko rękę wyciągnąć, aby tuż zaraz, tuż obok, znalazła się sposobność po temu—praca w najpożyteczniejszym kierunku tego zakresu. Jak ona z natury rzeczy kobiecą być powinna, dowodzić nawet nie potrzeba. Dziecko należy do kobiety, kobieta do dziecka przez prawo przyrodzone, które się instynktem objawia. Poeta (Brodziński) woła też na młodzieńca w chwili jego wyboru towarzyski życia:—„Szalej za nią, bo to żona, z Opatrzności naznaczona“—ta, która „lubi dzieci!“ Dlaczegoż zaś podnosimy znow tę sprawę, nieschodzącą wprawdzie nigdy z porządku dziennego myśli naszej od chwili, gdy pozwolenie na otwieranie ochron wiejskich zostało ogłoszonym—niech będzie odpowiedzią smutny komunikat *Gazety Lubelskiej*, która w jednym swym numerze (230) zamieściła wiadomość o śmierci w płomieniach dwójga dzieci, a pożarciu trzeciego przez świnię!

We wsi Olszewiec, ośmioletnia córka właściciela, Karolina Sprawka, poszedłszy w pole z innymi dziećmi, pasącymi bydło, gdy chciała się ugrzać przy ognisku, które, jak zwykle wśród chłodnej już pory październikowej, zostało przez pastuszków rozpalone, zapaliła na sobie odzienię i spaliła się żywcem!

We wsi Jankowiec, w powiecie Chełmskim, trzyletnie dziecko, Maryanna Pierś, pobiegła też za pastuszkami w pole, i gdy jeden z chłopaków potrafił ją przez swawolę, wpadła w ogień, a choć wyrwana z niego, niemniej wkrótce umarła z poparzenia.

We wsi Sobieska Wola, w powiecie Krasnostawskim, niemowlę małżonków Babel, zostawione samotnie w izbie przez matkę, która odchodząc do roboty snadź niedość mocno drzwi zamknęła, zostało tak nadzarte przez świnię, że umarło wkrótce. Dolna część twarzyczki była wydarta.

Ochrona zaprowadzona w połączeniu ze żłobkiem, a ta rzecz straszna, na którą wstrząsa się dusza, nie byłaby miała miejsca! Co rok w jesieni, gdy chłód przy pasaniu bydła już dokucza, pali się jakaś liczba dzieci wiejskich, gdy latem, w upalnym czasie zniw, topią się one w sadzawkach i jeziorkach, wałęsają się dnie całe, jak istoty dzikie, i dziczeję rzeczywiscie, bo umysły ich tępieją i leniwieją przez zapuszczenie ich w tym wieku właśnie, który się już rozbudzenia i rozwijania władz pilnie domaga. Gmina nie umie zdobyć się na inicjatywę rzeczy nowej, nieznaney, ale powinien to uczynić ktoś inny: istota oświecona a współczująca z nią sercem bratniem, odczuwająca wszystkie te braki, które owiele już dawniej powinny być zostać usuniętymi. Ale niestety! były to *czasy lekkie*, więc się mało myślało.

— Bardzo blisko z ochroną, ze szkółką ludową i wogóle z kształceniem moralnym dzieci małych łączy się kwestya, podniesiona niedawno przez jednego francuzkiego pedagoga: — kwestya opowiadanych dzieciom powiastek, tak zwanych bajek. Nauka moralności na taki sposób, jak to było u nas dawniej w i szkółkach pijarskich, wykładana jest po dziś dzień w szkołach francuzkich dzieciom jeszcze młodzieckim. Zdarza się też, iż sumienni nauczyciele doznają nieraz pewnej troski, sądząc, że lekcyje te nie zdają się dość przenikać umysł i „wiedzieć nie można, co z tego pozostaje dzieciom w duszy?” Otóż G. I. odpowiada na wątpliwości podobne. Nauka moralności nie może wykazywać się zaraz rezultatami tak widocznymi, jak przy innych gałęziach nauczania, gdzie każda lekcyja zostawia w umyśle jakąś wiadomość, jakies określone poznanie rzeczy. Działanie nauki moralności jest powolniejsze i odmienne w skutkach: oddziaływa na najgłębsze strony istoty dziecka i ztąd nie może się uwidocznić zaraz, doraźnie. Jako pomoc dla tej akcji wewnętrznej, która się w duszy dziecka odbywa, radzi autor użycie dawnego w pedagogii środka: li storyjek bawiących dzieci. Dawna pedagogia używała ich głównie jako pomocniczego środka karności. Bywały nagrodą za wywiązywanie się dobre z nakazów nauczyciela, bywały sposobem utrzymania dzieci w spokoju; wiedziano przytem, że dobrze oddziaływają na rozbudzenie wyobraźni, że nawet z tego względu powinny wchodzić w programat wychowania. Ale mają one jeszcze jedną ważną stronę: są czynnikiem oddziaływań moralnych, wprowadzają w umysły dzieci lepiej i pewniej, niżeli lekcyja, żywioły pojęć moralnych. W dzieciństwie ludów służyły one do tego; w nich zamykały się skarby pierwotnej filozofii człowieka i one przez zwykłe swe konkluzye moralne uczyły go wyższej, nad ziemię i jej zyski podniesionej, mądrości życia. Więc też wychowanie może, a nawet powinno, używać ich jako pomocniczego środka przy nauce moralności, bo są one rzeczywiście nauką moralności w czyn zamkniętą — „morale en action” — są zobrazowaniem moralności w realnych życia stosunkach. Szkolny rok francuzki liczy tygodni czterdzieści, zatem autor radzi nauczycielowi, aby sobie zebrał czterdzieści powiastek, wziętych z historii, z biografii sławnych ludzi, ze Złotej Księgi Akademii Francuzkiej, z legend a nawet z bajek ludowych „których nie należy lekceważyć,“ i ułożył to sobie w ciąg porządną harmonijnie odpowiadającą szkolnemu programatowi nauki moralności. Niech sobie otworzy ten programat (z d. 27 Lipca 1882 r.) i dopiero dobiera według niego powiastki, odpowiadające każdemu z paragrafów: „dziecko wobec rodziny i zobowiązań jakie ona wkłada, dziecko w szkole, w kraju swoim, w ludzkości; dziecko i jego powinności względem siebie samego, względem bliznich, względem wolnej woli swojej, odpowiedzialność moralna, sprawiedliwość, miłosierdzie i tak dalej.“ Powiastki tak dobrane niech przyjdą, jako objaśnienie przedmiotów lekcyi, niech będą ich ilustracją wyraźniej uderzającą umysł dziecka, jego wyobraźnię i uczucie, niżeli suche słowo lekcyi, niech doprowadzą dziecko, aby samo przez się wydoszło sobie potrzebne lekcyi konkluzye — skutek złączyło z przyczyną, zasadę moralną z jej zastosowaniem życiowem: a nauczana tak moralność niewątpliwie nie przejdzie przez umysły bez należytego oddziaływania, bez przeniknięcia ducha ich treścią.

— Krótkowidztwo dzieci w szkołach zaczyna rozszerzać się coraz więcej i do tych krajów, w których dotąd bywało jedynie wyjątkiem. Wiemy już, że niemiecki specjalista dr Steffan, uważał tę plagę, dotykającą szczególnie Niemcy i Szwajcaryą, za skutek posługiwania się w ochronach tak zwanymi zabawkami Frebla, dziś przecież rozciąga się ona coraz dalej i zwraca uwagę władz szkolnych. U nas niedawno kommissya lekarska wydała bardzo smutny wyrok o stanie wzroku uczniów szkół warszawskich; głos podobny odezwał się we Francyi, gdzie również krótkowidztwo dzieci zaczyna już zwracać uwagę. Lekarz francuzki, dr Fleury, miał w czasie otwarcia roku szkolnego prelekcyę do zgromadzonych nauczycieli departamentu Loary, w której tra-

ktował „krótkowidztwo dzieci,“ zaczynające w czasach ostatnich czynić takie postępy, że grozi dośięgnięciem tych proporcji, które byłyby już klęską społeczną (calamité sociale). Choroba ta jest jednak bardzo rzadką, jako wynik naturalny i u dzieci uczących się „pochodzi przedewszystkiem ze złych warunków nauki.“ Dr Fleury dotknął tu lekko kwestyi przedczesnej nauki dzieci w szkołach, lub podług systematu szkolnego udzielanej im regularnie i przedłużającej się do godzin całych. Dzieci uczą się dziś za młodo i zbyt wiele; ale kwestya to zawila i niedająca się łatwo rozstrzygnąć przy obecnem usposobieniu rodziców, którzy ze względów na przyszłość dzieci oile można najpomysłniejszą, spieszą się z ich nauką, aby mogła w danym czasie objąć zakres najobszerniejszy. Chcąc zatem osiągnąć pewne już korzyści praktyczne, dr Fleury ograniczył się do wskazówek możliwego zapewnienia uczącej się młodzi najlepszych warunków nauki. Jak wogóle wszyscy okulisci, położył on nacisk pierwszy na odległość przedmiotów, które wzrok potrzebuje rozpoznawać. Czy są zbyt blizkie, czy zbyt odległe, męczy to oczy jednakowo i zasadą być powinno, aby odległość najmniejsza pomiędzy przedmiotem, a badającym go okiem była od 25 do 30 centymetrów. Druki drobne i mało wybitne, bez interlinii, przebijające na drugą stronę papieru bibulastego, z którego kształty liter źle wychodzą, niewyraźnie się odbijają przed okiem wydania zwane kieszonkowymi, nuty mające wady podobne — oto pierwsza, bo wraz z pierwszą nauką dziecka złączona, przyczyna wad wzroku, jego osłabienia, chorób różnych.

Pióra cienkie, stalowe, te pióra, które kreślą ledwie widoczne kreski jakies w miejsce wyraźnych i łatwo dla oka uchwytnych liter — „plumes ridicules, qui tissent des toiles d'araignée“ — to niemniejsza przyczyna krótkowidztwa. Doktor Fleury żałuje też piór gęskich, miękkich, więc łatwo i naturalnie bez żadnego wysiłku ręki kreślących litery czytelne i dostatecznie duże. Drobność i sznureczkowość dzisiejszych charakterów pisma wynika z gatunku piór, przez dzieci używanych: władze szkolne powinny nad tem czuwać, aby się tak nie działo. Pióro łatwo i dobrze puszczone atrament, pióro dostatecznie grube i giętkie, powinno być jedynie podane ręce dziecinnej, a także nauczyciele nie powinni pozwalać na pisanie drobne i zbyt delikatne, cienkie. Męczy to nie tylko oczy, gdy to czytają, ale męczą się one więcej jeszcze przy pisaniu takim, bo wzrok musi wciąż troskliwie i pracowicie, więc z wyczerpaniem śledzić kreski, stawiane przez rękę. Przytem niemniejszą tu rzeczą jest atrament: błady i zalewający się, więc źle oddający litery pisma, czyli atrament gatunków poślednich, nie powinien być nigdy używanym przez uczące się dzieci. Łączy się z tem ważna dla ubogich rodzin kwestya powiększonego wydatku, ale wzrok jest dla człowieka rzeczą ceny tak wysokiej, że tu już żadna oszczędność miejsca mieć nie może. „Lepiej jest mniej umieć, niż być kaleką ocznym, — dodaje dr Fleury — nawet bez nauki łatwiej się obyć w życiu, niż bez wzroku.“

Dostateczne i prawidłowe oświetlenie przy czytaniu i pisaniu, a także i ławki szkolne, pulpity, na których spoczywa książka, lub zeszyt do pisania, tabliczki, któremi się posługuje nauka elementarna, tablice szkolne, na których nauczyciel kreśli dzieciom zadanie, mappy, które też powinny oddawać przedmioty czysto i jasno — wszystko to są rzeczy, których używanie powinno się zgadzać z warunkami, nakazywanymi przez okulistykę. Dawniej było to mniej potrzebne, bo się mniej uczono i uczyły się głównie dzieci klas zamożnych, których przybory naukowe były doskonalsze, a warunki oświetlenia lepsze.

— Wystawa higieniczna, która w lecie roku bieżącego odbyła się w Paryżu, dała powód i sposobność do licznych odczytów w tym kierunku wiedzy, między którymi dr Bailly odezwał się w bardzo ważnej, z wychowaniem łączącej się kwestyi. Traktował konieczną, nieodzowną potrzebę inspekcji lekarskiej w szkołach, przyczem zbiegł się najzupełniej z tem, czego przed wielu już laty żądała od rodziców Żmichow-

ska, gdy dzieci swoje oddają w ręce bony lub nauczycielki. „Potrzeba jest — dowodził dr Bailly — aby nauczyciel stowarzyszył się tu z lekarzem pod dwoma względami: — Najpierw powinien on (nauczyciel) otrzymać od lekarza wskazówki, co do ostrożności, które koniecznie należy zachować z pewnemi dziećmi, dotkniętymi jakąś wadą w konstytucyi, czy organiczną, czy successyjną, z dziećmi, których systemat nerwowy nie posiada potrzebnej równowagi, które są zbyt tklive, zbyt wrażliwe, unoszące się namiętnie, i którym wskutek tych zboceń fizycznych, czy moralnych, tak praca powinna być odpowiednio zadawana, jak kara wymierzana — z inteligentnem umiarkowaniem, lub surowością nieugiętą.“

Prócz tego nauczyciel musi być przyzwoatym, nie do samej już inspekcji lekarskiej, ale do wspomaganie jej „przez obserwacyą, która nie wymaga żadnych wiadomości specjalnych“ nie potrzebuje ich wcale, lecz tylko żąda uwagi i pewnego zastanawiania się nad przyczynami takiego, a nie innego, postępowania wychowanka. Aby pokierować odpowiednio tę badawczą pracę nauczyciela, dr Bailly chce, aby każdy nauczyciel dostał od lekarza dwanaście kartek, odpowiadających tyluż miesiącom roku, na których zostałyby zanotowane, dla jego własnego użytku, pewne ze strony lekarza zapytania, zwracające uwagę w stronę potrzebną, naprzykład: jaki jest sen, apetyt, humor i wygląd dziecka po otrzymanej karze, nagrodzie, po wysiłku pracy większym? Jakie jest jego zachowanie się w podobnych, lub innych jeszcze razach? Co szczególnie lubi, a czego unika? Jak się bawi, i w jaki, sposób? wesolo, hałaśliwie, lub cicho, siedzący niemrawo. Więc bez wielkiego wysiłku wyobraźni, bez błąkania się wśród rozmaitych okoliczności, może nauczyciel dostatecznie i w punktach pożądanym objaśnić lekarza i zarazem sam nabyć potrzebnej znajomości swego ucznia pod względem nie tylko fizycznym, ale i moralnym.

— Higiena szkolna — (Gesundheitslehre in der Schule) przez d-ra Th. Zeisig jest to mała książeczka, przeznaczona dla dzieci z myślą, aby umiały postępować zgodnie z dawaniami im przepisami, tyjącąciami się ich zdrowia. W objaśnieniach, bardzo prosto i przystępnie podanych, autor zapoznaje młodych czytelników z tem, co to jest jedzenie, picie, świeże powietrze, ruch, praca, odzież, starania jakich wymaga skóra. Dobre ilustracye objaśniają elementarne wiadomości z anatomii, podpierające przestrogi higieniczne, które zostają dziecku udzielone i żałować trzeba, że nie dodano tu nic o pielęgnowaniu zmysłów, jak wzrok, słuch. Dzieci powinny przeczytać tę pożyteczną książeczkę głośno, przy rodzicach, czy nauczycielach; warto, aby została przełożoną na nasz język dla użytku, już nie dzieci, ale rodziców z klas ludowych.

## GASNAĆA DUSZA

POWIEŚĆ

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg)

V.

Pierwsze dnie wiosny nie należą do najprzyjemniejszej pory roku, zwłaszcza po śnieżnej zimie, zwłaszcza na błotnistym bruku miejskim, kiedy z dachów kapie, pod nogami taje, w powietrzu rozpętane zakłębienie słońca wyziewy i opary się unoszą. Ziemia w tym czasie nie jest tak rozkoszną, jak ją opiewają poeci, wyprzedzając gromady słowików, lecących dopiero z dalekiego południa; ale za to w uśmiechu nieba, w blaskach słonecznych, w tem tchnieniu wiosny, które się czuje ciałem i duszą, jest jakiś dziwny, przejmujący

jący czar, coś, co odżywia, odmładza, nową nadzieją, nowymi siłami krzepi.

Jeżeli można spojrzaniem całować, to oczy ludzkie posyłają pocałunki słońcu i niebu za nową wiosnę.

Najsmutniejszemu dusza się rozchmurza, uśmiech, choć jak płochliwy motyl na ustach osiada, to przecież człowiek wraz z naturą swobodniej oddycha rozszerzoną pierś i sam nie wie dobrze czemu, ale otworzyłby ramiona do całego świata z nową wiarą i nową miłością.

Miał słuszną poezję, który z zachwyceniem wołał: *Gioventù, primavera del' vita — Primavera, gioventù del' anno!*... Komu wiosna życia minęła, ten jeszcze młodością roku odżywa i młodszym się czuje podczas tych nowych zręków nieba z ziemią.

Na tak wrażliwą naturę, jak Filipa, oddziaływała w wysokim stopniu każda zmiana tego rodzaju; z rozpogodzonym niebem rozpogadzał się jego umysł.

Nigdy nie czuł się swobodniejszym, weselszym, niż w chwilach spędzanych na długich zamieszanych przechadzkach, w tej zwyczajnej, a tak mało dla wielu ludzi zrozumiałej i ponętnej włości po polach, lasach, wśród budzącej się natury.

Najczęściej wymykał się sam, bez towarzystwa, wczesnym rankiem, kiedy żona spała jeszcze w swoim pokoju zaciemnionym roletami i firankami, za niebieską kotarą swego miękkiego łóżka, i śniła z uśmiechem czarownym na rozchylonych ustach o tem, czem na jawie główka jej nasiąkała.

Nikom, nawet mężowi, a jemu przed innymi, nie wolno było przerywać tych snów i uchylać drzwi jej sypialni, dopóki nie odezwał się dzwonek oznajmujący całemu domowi, że piękna pani swoje śliczne oczy nareszcie otworzyła.

Stefanka trzymano umyślnie w ostatnim pokoju, aby swoim szczebiotaniem matki nie budził; pozwalano mu na dzień dobry odwiedzać ją i „na pieśczętce” przychodzić do mamusi, jeżeli zły sen jaki nie zepsuł jej humoru. Dziecko na ciepłej pościeli układało się z lubością i jak chwałaszcz przewrócony na wznak, pocieszenie ruszało rączkami i nóżkami, zanurzając się od śmiechu.

Pani Helena w tych macierzyńskich rozkoszach niezawsze znajdowała upodobanie; niekiedy malec ją drażnił, naprzykrzał się zanadto, kazała go piastunce zabierać od siebie z łóżka i wynosić copredzej z pokoju.

Takie chwile powtarzały się coraz częściej w ostatnich czasach; Helena czuła się rozstrojoną z niewiadomych przyczyn. Humor jej zmieniał się teraz, jak marcową pogodą; nieraz od matki i sióstr wracała wesoła, rozbawiona, śmiejąc się, a po godzinie pobytu w własnym domu posepniała znowu, zmieniała się doniepoznania.

Pielski bywał prawie codziennym gościem u pań Okulskich; od czasu do czasu składał dla formy wizytę Morellim, ale czynił to jedynie z obowiązków konwenansu. Atmosfera w domu Filipa nie dogadzała mu widocznie; czuł się swobodniejszym na dole u matki, niż na drugim piętrze u córki.

Morelli, mało przystępny dla wszystkich, dla p. Zygmunta z wyraźnego polecenia żony starał się okazywać większą uprzejmość, jako dla gościa uprzywilejowanego; dano mu bowiem do zrozumienia, iż dla przyszłego szwagra powinien być względniejszym; kazano mu uwierzyć, że Pielski stara się naprawdę o Klarcię i że „z tej maki chleb będzie.”

W rzeczywistości wszelako było inaczej; w tym upragnionym chlebie formował się zakalec.

Pan Zygmunt względem Klary nie wychodził z granic zwyczajnych salonowych grzeczności i banalnych frazesów, natomiast przy Helenie nie tracił czasu i wierny swojej teorii szturmował piękną twierdzę wszystkimi środkami swej strategii.

Nie przyszło między nim a żoną Filipa nigdy do wyraźnego wyznania; tego słowa tak sposobliwanego na ustach mężkich: „kocham panią”,

strzegł się przebiegły lew salonowy, unikający zwyczajnego szablonu.

Poznał on zresztą bardzo szybko, że Helena nie należała do rzędu kobiet sentymentalnych i że prawdą czy pozorem uczucia nie byłby zamierzony efekt wywołał u niej.

Kochał ją mąż, ale ta miłość ciążyła jej więcej, niż przyjemności sprawiała; być kochaną znaczyło w jej pojęciach tyle, co być podziwianą, wielbioną, wyróżnianą ponad wszystkie inne. Nie byłaby też nigdy rozumiała i dopuściła romansu, który w sferach salonu nosi nazwę „miłosnej awanturki.”

Pielski podobał jej się, jako typ skończony salonowca, złotego motyla, który przy różach do niej podobnych żywot swój trawił i blaskami swoich skrzydełek je olsniewać umiał.

— Mój kochany — mówił do niego prezes — do czego ty właściwie dążysz w tym stosunku z panią Morelli?... O ile się znam na tem, ta porcelanowa Venus nie da ci się zbałamucić, wykrasie, uwiesie, to nie materyał na piękną Helenę XIX-go wieku, a jeszcze mniej na klasyczną bohaterkę w tym rodzaju. Wiesz, co ci powiem?... Jestem przekonany, że porzuciłaby swego pana Filipa, który się wyrwał, jak jego imiennik z Konopi, żeniąc się z taką kobietą, ale pod warunkiem, że poszłaby za mąż... za ciebie. Nie uśmiechaj się tak ironicznie i zawierzaj trochę więcej staremu doświadczeniu. Pani Morelli nie jest kwiatkiem do zrywania, ją trzeba z całym krzakiem wykopać i przesadzić, a przecież do tego ty, mój Zyziu, nie jesteś odpowiednim ogrodnikiem.

— Nie można wiedzieć — odpowiadał siostrzeńiec z miną tajemniczą i zagadkowym uśmiechem — *le jeu vaut la chandelle.*

— Ale tu niema nic do wygrania...

— Albo wszystko.

— Jakto? bylibys zdecydowanym zrezygnować nawet na małżeństwo z rozwódką, aby tylko na swoim postawić?

— Nie można wiedzieć, wujaszku.

— A te pozorne konkury do panny Klary?... do czegoż one doprowadzą?

— Nie można wiedzieć.

— Nareszcie, trzeba się na coś zdecydować.

— Ja się też zdecydowałem.

— Na co?...

— Na przyjemną zabawę [w nową grę.

Szeliwski zachnął się niecierpliwie i z niechęcią.

— Jesteś wstrętny ze swoim cynizmem. Te kobiety nie mają najmniejszego instynktu, skoro lecą do ciebie, jak émy do płomienia i to... malowanego.

— Tem lepiej; nie opalą sobie skrzydełek.

Prezes się skrzywił z niesmakiem i zmrużywszy oczy, wpatrywał się w siostrzeńca z jakimś wyrazem lekceważenia, a potem dodał po chwili:

— Gdybym chciał wierzyć zupełnie twoim słowom, musiałbym wyrzec się twego pokrewieństwa.

Pielski rozśmiał się głośno i szczerze.

— Nie zrobisz tego, wujaszku, nie zrobisz; przywykłeś do mnie zanadto i bałbys się teraz zostać opuszczonym, a zresztą musiałbys zmienić testament i swego przybranego syna wydziedziczyć. Lepiej, zostanmy, jak jesteśmy. Mnie pozwól się wuj bawić na mój sposób, a sam baw się ze mną, i wierzaj: mniej złego wyrządzam światu, niż ci się zdaje. Za serwo pan prezes bierziesz komedię życia, powtarzam to zawsze wujaszku. Nie trzeba być bocianem, nie trzeba narzucać się moralności za stróża. Zresztą w czem tu jest moralność zagrożona?... w tem, że piękna kobieta niekochająca męża zawróci sobie trochę głowę mojami komplementami?... mimo to, jak wuj sam powiadasz, nie przestanie być Penelopą, wróci do ogniska domowego dysponować obiady swemu mężowi i karcić papką swojego jedynaka. Do katastrofy żadnej nie dojdzie; dramatów na scenie już nie grywają, a cóż dopiero w życiu!

Szeliwski przerwał mu skwapliwie:

— Nie można wiedzieć, ja ci teraz odpowiem.

A jak się pan mąż spostrzeże?

— To i cóż?... wyzwie mnie? Będziemy się

strzelali, pozabijamy się?... śmieję się z tego, wujaszku: dzisiaj i do pojedynków nie dochodzi tak łatwo. Mężowie, jeśli mają rozum, to udają, że nic nie widzą; jeśli go nie mają, to są ślepi na prawdę. Świat siębo i skandalu!... Ależ owszem, pragnę tego, aby mi ktoś kiedy luźną zaświecił w oczy: miałbym przynajmniej nową jaką sensacją w tem nudnym, szarem, jednostajnym życiu filistra.

Prezes odwrócił się od niego zirytowany.

— Jest przecież jeszcze opinia publiczna — rzekł — której lekceważyć nie wolno.

— Opinia publiczna?... a gdzie ona?... dajcie mi ją na Bogal... niech się ode mnie trzech ludzi odwróci, nazajutrz po wykradzeniu pani Morelowej, czy panny Klary, niech mi zamkną drzwi przed nosem w salonach, w których bywam, niech mi przestaną rękę podawać i wytkną palcem, jak zbrodniarza, jak zapowietrzonego: a pierwszy uklęknie przed królową opinią i uznaję jej sprawiedliwość. Widzisz, wujaszku, mówię szczerze, bez ironii i cynizmu. Trzeba, żeby była taka opinia u nas i żeby miała odwagę wyrazić swoje oburzenie, wydać swój sąd, napiętnować każde złe: a wtedy bezkarność nie będzie rozzuchwalała takich, jak ja, który byłbym także innym, gdyby innym być trzeba było i warto było. Od czasów zniesienia policyi moralności, niczem innym, niestety, nie zastąpiono w świecie tej instytucji. Widzisz, wujaszku, przecież, jak się mile uśmiechają do mnie te wszystkie panie, które z lubą zgrozą opowiadają sobie pocichu historję wszystkich moich bałamuctw, a ci mężowie, jak mnie zapraszają na wieczór uprzejmie, choć wiedzą, że wpuszczają sami wilka do owczarni. I gdzie tu mówić o opinii!... są tylko, jak ty, wujaszku, wcielone anachronizmy moralności.

Pielski zapalił się retoryczną swadą i deklamował z przejęciem swoją tyradę, przegarniając od czasu do czasu piękną brodę i włosy białą, wypieszczoną ręką i zerkając ukradkiem w lustro, swoim zwyczajem.

Prezes, zniecierpliwiony, zostawił go w pozie mówcy na forum i wyszedł, nie dosłuchawszy ostatnich słów Zyzia.

Przez trzy dni po tej rozmowie nie odezwał się do siostrzeńca.

W tym samym czasie pomiędzy Filipem a Heleną przyszło również do rozmowy, ale w odmiennym tonie, choć w podobnym przedmiocie.

Pewnego dnia Morelli wrócił z rannej przechadzki w wyjątkowo wesołemu sposobieniu; podnieciło go świeże powietrze, widok runiących się świeżą zielenią pól; Stefankowi przyniósł kilka gałązek do zabawy pokrytych pierwszemi listkami, dla żony zaś bukiet przelaszczków, udających fijołki. Lekko mu dziś było jakoś na duszy, pogodniej w myślach i sercu, czuł się rześkim i odświeżonym; nie wstydząc się zdrowego apetytu, który daleka wycieczka za miasto zaostrzyła, zasiadł z żoną do śniadania i rozpoczął z nią swobodniejszą rozmowę, jakiej dawno nie prowadził z Heleną.

— Ale, ale — wtrącił nagle — spotkałem za rogatką Pielskiego z prezesem konna; mam dla ciebie od nich ukłony. Mieli się w Zimnej Wodzie spotkać z twoją matką i siostrami na kawie.

Helena zmarszczyła brwi nieznacznie.

— Wiem o tem — odrzekła — mama z Resią pojechały w powozie, a Klarcia z bereiterem na koniach.

— Czy nie namawiały ciebie przypadkiem? — spytał Filip obojętnie.

— Owszem.

— I dlaczegoż nie pojechałaś?

Helena uśmiechnęła się z gorczyścią.

— W czem?... w tej starej wystrzępionej amazonce z panińskich czasów?...

Z kolei Filip brwi zmarszczył; temat przez żonę poruszony nie należał do bezpiecznych i przyjemnych w rozmowie pomiędzy małżonkami. Zamilkł na chwilę, ale potem znowu spróbował nawiązać rozmowę.

— Wiesz co, mnie się zdaje — zaczął — że z tych waszych planów nic nie będzie.

— Z jakich planów?

— No, co do Pielskiego i Klarci. On mi nie wygląda na człowieka dość poważnego.

— Niema rozczochranej czupryny i wytartych łokci — wtrąciła z przekąsem Helena.

— Nie to, ale mi się zdaje, że mimo wszystko, nie jest tak bardzo Klarą zajęty, aby się aż miał zenić.

— A któż mu każe zająć się nią? — spytała głosem zlekka drżącym.

— Jakto?... kazać mu nikt nie może — spokojnie mówił dalej Filip — lecz jeżeli nim nie jest, w jakim celu tam bywa?

— Któż ci powiedział, że pan Pielski bywa dla Klary?...

Wymówiła to szybko, prawie porywczo, bez zastanowienia.

Mąż spojrział na nią z wyrazem zadziwienia.

— Dla kogóżby był inno?... przecież nie dla ciebie — dodał z uśmiechem.

— A dlaczegóżby nie dla mnie? — spytała tym samym tonem, spojrzawszy bystro i wyzywająco w oczy Filipowi.

Nastąpiła chwila milczenia, którą znowu pierwszy on przerwał.

— Nie zastanawiasz się nad tem, co mówisz, moje dziecko — rzekł łagodnie, ale poważnym głosem ostrzeżenia.

— Chcesz powiedzieć, że jestem mężatką — przerwała mu, hamując jakieś nagłe wzburzenie serca i zakładając ręce w koronkowe rękawy niebieskiego szlafrocza; — to i cóż z tego?... jestem mężatką i nie jestem nią; albo ja wiem nawet, czy mam męża?... kto mnie widuje z tobą, co ja mam z ciebie?... uciekasz od świata, od ludzi i chciałbyś, abym zdziczała tak samo, jak ty. Nianka, klucznicą i szwaczką powinnam być według twego zdania, nieprawdaż?... Kiedy się zdarzy człowiek prawdziwie mojej sfery, z którym chociaż porozmawiać można inaczej, przy którym...

Urwała nagle i zacięła usta drobnymi swemi ząbkami; duże jej oczy błyszczały jakimś złowrogi blaskiem, odwrócona od męża kołysała się machinalnym ruchem na krześle; znać było po niej, że jest wzburzona do głębi i że długo tająca gorycz wybuchnie teraz potokiem wyrzutow.

Filip patrzył na nią z pod oka i zamilkł.

— Takie życie jest dłużej nie do zniesienia! — zaczęła znowu — zmienić się to musi. Rób, co chcesz, ja tak żyć nie potrafię. Trzeba ci było ożenić się z równą sobie dziwaczką, nie ze mną. Ja nie jestem stworzoną na niewolnicę dla nikogo, nie dopiero dla ciebie. Obcy człowiek więcej mi okazuje taktu i życzliwości, niż własny mąż. W teatrze, na przechadzce, na wieczorze widują mnie samą w towarzystwie matki tylko...

— I pana Pielskiego — dorzucił Filip przez zaciśnięte usta.

Słowa żony i jej wzburzenie gwałtowne w jednej chwili zbudziły w nim nagle podejrzenie, którego dotąd nie śmiał przypuścić.

— Tak, i Pielskiego — powtórzyła z jakąś brutalnością w głosie — bo twoje miejsce przy mnie nigdy nie zajęte, bo zostawiasz mnie samą, wiecznie samą, na pośmiewisko ludzkie. Wszystko ci jedno, co ta żona robi, czy jest zadowolona i szczęśliwą, czy się bawi czy nudzi, czy płacze, czy się śmieje...

Filip wstał, jakby podrzucony sprężyną z miejsc.

— A spytałaś ty choć raz o to, czy ja jestem szczęśliwy? — rzekł głosem poważnym i chłodnym, obrzuciwszy żonę spojrzeniem pełnym głębokiego smutku.

— Ty?... a czegóż tobie więcej do szczęścia potrzeba? — zawołała, załamując ręce ze zgrozą. — On nieszczęśliwy! — mówiła dalej z odcieniem gorzkiej ironii w głosie — jeżeli nie czujesz szczęścia, to chyba z własnej winy, nie z mojej przecie.

Chciał jej odpowiedzieć, ale zmienił postanowienie w tejsamej chwili; słowa mogły tylko rozjątrzyć bardziej stosunek między nimi, a myśl ich nie byłaby nigdy trafiła do serca i umysłu Heleny. Wszelkie tórczenia między dwojgiem ludzi niemogących się zrozumieć były zbyteczne.

— Dziękuję ci, żeś mi ostrzegła — rzekł ze spokojem udanym — zaczęę odtąd lepiej czuwać nad tem, aby nikt inny mego miejsca nie zajął

przy tobie. Na początek zamknę drzwi panu Pielskiemu.

— Co?... śmiałyś to zrobić?! — zawołała.

— Jestem mężem i mam do tego prawo.

— Nie masz prawa kompromitować mnie!...

— Kompromitować, ciebie?...

— A tak; co ci przeszkadza Pielski?

— Nie chcę go widywać w moim domu, dopóki w nim jestem ja panem.

— On się też nie wprasza tutaj tak bardzo.

— Wiem, bo go przyjmują gdzieindziej, ale sędzę, że od dnia dzisiejszego uszanujesz moją wolę, Heleno, i przestaniesz się u matki widywać z gościem, którego mąż twój nie przyjmuje u siebie.

— Oszalałaś!

— Nie jeszcze; czynię, co mi przezorność nakazuje. Sama mi to w porę przypominałaś. Ja nie chcę, abys widowała więcej Pielskiego w mojej nieobecności, rozumiesz?...

W głosie jego drżała jakaś utajona groźba; pierwszy raz zdobył się na taki ton stanowczy wobec żony. Podrażniło go jej zachowanie się, jej słowa, jej wyraz twarzy zawsze pięknej kształtnością rysów i wdziękiem świeżości, ale zbrzydzonej w tej chwili duchowym wyrazem niskiego gniewu i pospolitej natury kobiecej.

W tem pięknym ciele niktby się nie domyślił tak szorstkiej duszy, pozbawionej zupełnie uczuć delikatności.

Helena z passją klasycznej furii chodziła po pokoju, nozdrza jej drżały, usta przygryzała, ręce szarpały jedwabne sznury szlafrocza, w oczach zabłysnęły łzy gniewu, nie rozrzewniała.

— Wiem, wiem — mówiła głosem zmienionym — potrafiłbyś mnie tyranizować, gnębić, zamęczać gdybym się tylko pozwoliła. Teraz gotów jesteś przesładować mnie zazdrością swoją; zacząć się urojone pretensje do ludzi i do mnie, nie pozwolisz nikomu zbliżyć się. Mama mi to wszystko przepowiedziała, o wszystko!... ale nic z tego nie będzie. Dowiedz się, że zrobię, co mi się będzie podobało, choćby... choćbyśmy się mieli rozejść ze sobą nazawsze. Wolę to, aniżeli taką niewolę!...

Wyszła śpiesznym krokiem, do swego pokoju i zatrzasnęła drzwi na zasuwkę.

— Choćbyśmy mieli rozejść się na zawsze!...

Słowa te po raz pierwszy odbiły się echem gromu w duszy Filipa; ona pierwsza mu je rzuciła w twarz z całą bezwzględnością i naprowadziła na myśl, której sam nie śmiałby powziąć w najboleśniejszych chwilach swoich.

Rozejść się — dwa słowa, jak każde inne, lecz ileż w nich okropnej treści bywa ukrytej!.. Po co się było schodzić, jeżeli rozejść się potrzeba... A tak niełatwo wrócić z drogi, po której się błądziło z wiarą, że prowadzi prosto i szczęśliwie!

Dzień cały po tej gwałtownej scenie z żoną Filip przepędził w pracowni; chciał się przymusić do roboty, myśl odbiegała od niego, coś mu wzrok zasłaniało, palce jakby drewniane, trzymały dłuto, jego dzieło wydawało mu się potwornem. W pogodniejszych chwilach rozpoczął modelować grupę, przedstawiającą dwoje ludzi w uścisku miłosnym, do których tuliło się dziecko; uśmiechnięci, szczęśliwi patrzyli w niebo zapewne wiosną rozjaśnione i pokazując sobie coś w dali, pod słońce, zdawali się wołać z radością: „Bociany wracają!...“

Sielankowa ta grupa, pełna poezji i wdzięku, z pod dłuta Filipa wychodziła z każdym dniem wyraziściej i piękniej; dziś wszelako w usposobieniu, w jakim rozstał się z Heleną, temat ten drażnił go, to rodzinne szczęście, upostaciowane w jego utworze, wydało mu się szyderstwem. Każde dotknięcie wilgotnej gliny przejmowało go nerwowym dreszczem; praca więcej go męczyła niż ukojenia dawała.

Chciał się zmusić do niej, i nie szło mu, a przymus rozstrajał go coraz bardziej.

Zniechęcony, nagłym i gwałtownym ruchem zrzucił całą grupę z podstawy na ziemię, a dłuto cisnął w kąt pracowni, z rozpaczliwym gestem ręce załamał nad głowę.

Opuszczała go jedyna pociecha i podpora w złamanem życiu: chęć i siła do pracy.

Dużemi krokami zaczął chodzić po starym re-fektarzu, a przy każdym stąpieniu rozlegało się echo po pracowni, jak stukot młotka o wieko zabijanej trumny.

Słońce wiosenne złotą strugą wlewało się przez duże okna, poza którymi ćwierkały stadka jaskółek, lepiących nowe gniazda we framudze.

Zmęczony tą wędrówką z kąta w kąt, machinalnie rzucił się biedny Filip, na krzesło i głowę sparłszy o ścianę, zamknął oczy, jak człowiek senny.

Dotknięcie zimnego muru, chłodziło mu przyjemnie rozpalone skronie; z pod rzęsy powoli gruba łza, jak kropla rosy spływała po bladej, zmienionej twarzy artysty, w którym cierpiał człowiek, szarpany bólem, zamkniętym w dumnej piersi.

Nagle z tej przykrej zadumy zbudziło go coś niezwykłego; uczył pocałunek delikatny, lekki, nieśmiały na ręce spuszczonej ku ziemi; otworzył oczy i u stóp swoich ujrzał klęczącego Pietrka.

Chłopak wpatrzony był w swego mistrza z wyrazem dziwnego współczucia i smutku głębokiego; oczy miał czerwone od łez, które po ubielonej gipsem twarzy wypłykały dwa ślady na policzkach.

— Co ty robisz?... czego chcesz? — spytał oprzytomniały Filip.

Pietrek ponownie rzucił się do ręki artysty.

— Pan taki smutny czegoś... pan ma jakieś ciężkie zmartwienie — mówił chłopak miękkiem rozrzewnionym głosem, nieśmiało, niemal lekliwie, jakby się obawiał nagany za ten objaw dobrego serca.

— Mnie się pana tak żal zrobiło, bo pan od trzech godzin siedzi tu, jak nieżywy. Może dać znać do domu?... pan chory pewnie.

I przykucnął na ziemi, jak wierny pies obok pana swego, patrząc mu w oczy z czułością.

Filip uśmiechnął się boleśnie; słowa chłopca wrzuciły go, pogłaskał kudłatą, zapyloną głowę jedyne go świadka swoich cierpień i odezwał się cicho tonem wdzięczności:

— Dobrze z ciebie dziecko, mój Pietrku. Nie zważaj na mnie, to nie...

I z westchnieniem podniósł się z krzesła, poznając dopiero teraz po zeszytwnieniu wszystkich stawów, jak długo musiał w tej melancholijnej zadumie pozostawać bez ruchu.

Ku wieczorowi już było, gdy wracał z pracy; nogi wlokły się ciężko, głowa zwiśla na piersi. Gdyby miał być inne schronienie dla siebie, inny jaki kąt cichy, gdzieby mógł zostać sam ze swojemi myślami, byłby nie wracał do tego domu, który niegdyś był jego marzeniem, a dzisiaj męczarnią.

Dochodząc do bramy, ujrzał, zdala wsiadającego do dorozki Pielskiego; serce mu zadrgało, jak pod ukłuciem szpilki motyl w rękach psotnego dziecka, przyspieszył kroku i prawie pędem wpadł do swego mieszkania.

W przedpokoju było ciemno, w dalszych pokojach zmrok już panował, wszedł do kuchni i tu nie zastał nikogo. W izdebce Stefanka było pu-sto; ani żony ani dziecka w domu nie było.

Po długiej chwili dopiero nadeszła służąca.

Jakiś dreszcz przejął go; zadzwonił na nią i spytał:

— Pani wyszła?

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Ostatni wieczór Towarzystwa Muzycznego zainteresował nasz światek artystyczny zapowiedzianym występem nieznanego u nas skrzypka, a bardzo chwalonego w pismach zagranicznych, pana Marcellego Herwegh'a. Licznie więc zebrana publiczność z niecierpliwością oczekiwała chwili ukazania się jego na estradzie. Program pana Herwegh'a składał się z koncertu Gmoll,

Bernard'a, Romansu Soendsen'a, Mazurka Zarzyckiego, oraz tańców hiszpańskich Sarasatego. Przyznać musimy, że stało się bardzo nieszczęśliwie, iż w programie tym tak się zeszedł pan Herwegh z panem Adamowskim, niedawno koncertującym u nas, gdyż łatwiej jeszcze było nam postawić porównanie gry skromnego, nie reklamowanego naszego wirtuoza, z głośno okrzyczanym uczniem Sarasatego. Otóż, okazało się, że pod wielu względami nasz rodak przewyższa pana Herwegh'a, szczególnie w nieposzlakowanej czystości intonacji, równej technice lewej ręki i niewzruszonym spokoju, z jakim swą grę prowadzi. Co do spokoju, nie przesadzamy jeszcze naszych spostrzeżeń, albowiem koncertant miał tym razem taki fatalny akompaniament, że ten mógł go z cierpliwości wyprowadzić i nastroić ogólnie nerwowo. Reasumując jednak wrażenia nasze, sądzimy, że pana Herwegha wolno tylko zaliczyć do owej wielkiej liczby dobrych skrzypków, których, szczególnie w Niemczech na setki liczyć można, lecz nigdy uważać go, za jednego z pierwszorzędných wirtuożów.

W tymże wieczorze był wykonany drugi konkursowy chór na same głosy: „Wieczór letni”, Antoniego Rutkowskiego. Wykonanie, chociaż staranne, nie podołało w zupełności zadaniu, albowiem śpiewacy choralni, nieprzyzwyczajeni do śpiewania bez akompaniamentu, niedość śmiało rzecz swą prowadzili; ztąd, pomimo znacznej liczby wykonawców, całość słabo brzmiała, a jedyne nie tylko niektóre pojedyncze głosy oddziaływały się, wydostając się na wierzch i psując miłe wrażenie jednolitej pięknej harmonii. Kompozytorka ta, bardzo sympatyczna, może nie zjeździe tak prędko z repertuaru Towarzystwa, a wtedy niewątpliwie już poprawniej będzie mogła być wykonana. Drugim numerem chóralnym w tym koncercie była pieśń na żeńskie głosy: „W jesieni”, pana Zygmunta Noskowskiego. Tutaj chóry, czując się zupełnie bezpiecznie, gdyż śpiewały przy akompaniamencie fortepianu, wykonały dzieło swego dyrygenta bardzo dobrze; sama zaś kompozytorka, we wdzięcznym zakroju pieśni ludowej przeprowadzona, tak pod względem misternego opracowania, jako też i oryginalnej melodii, bardzo korzystne robi wrażenie.

Dyrekcja Teatrów zainaugurowała swe koncerty symfoniczne współudziałem pana Alexandra Michałowskiego. Koncert ten odbył się przy dość licznej zebraniu słuchaczy, którzy chętnie zawsze śpieszą na występy sympatycznego im wirtuoza. Program rozpoczął się uwerturą Beethovena „Poświęcenie domu.” O dziele tem już dawniej na tem miejscu pisaliśmy; dzisiaj więc powiemy tylko, że wykonanie było bardzo sumienne i energiczne, i że orkiestra w powiększonym komplecie, uczestnictwem znacznej liczby uczniów konserwatorium świetnie się zaprezentowała. W tej pełni dopiero przedstawia się ona dopiero taką, jaką być powinna, to jest z przewagą smyczkowych instrumentów, które, jako słabsze, wymagają silniejszej obsady. Następnie był wykonany świetny koncert fortepianowy Schumanna (A moll). Pan Michałowski nie mógł zrobić lepszego wyboru, niż grając ten koncert, który tak odpowiada rodzajowi jego gry powiewnej i usposobieniu pełnemu fantazji. To też z widocznym zamiłowaniem wyrzeźbił każdą myśl autora, subtelnie wykończając każdy najniepochytniejszy szczegół; szkoda tylko, że była to początki *peine perdue*, gdyż orkiestra, niepołamowana w swej sile, zapominała, iż nie sama dzielna stanowić tu ma całość, ale, że powinna się liczyć z głównym koncertującym instrumentem. Pan Michałowski grał jeszcze bez akompaniamentu orkiestry: Toccate i Fugę Bacha, w układzie Tausiga, Barcarolle Rubinsteina, Scherzo (Cis moll) Szona, oraz nad program walca des dur. Szopena, we własnej transkrypcji. Wszystkie te dzieła pan Michałowski wykonał świetnie pod względem technicznym, co zaś do pojęcia strony duchowej najbardziej nas zajęło wykonanie przeslicznej Barcarolli Rubinsteina, która pod palcami wirtuoza stała się drogocennym klejnotem elegancji, lekkości i uczucia.

Resztę programu wypełniła orkiestra. Wy-

konano najpierw poemat symfoniczny, Saint-Saënsa, „Danse Macabre”, rzecz świetnie instrumentowaną, charakterystyczną w pomysłach dzieckich, dreszczem przejmujących słuchacza, oryginalną w niezwykłych zwrotach rytmicznych, oraz formie jedynej w swoim rodzaju. Zadanie było niezmiernie trudne; widocznie jednak pan Rebiczek dołożył pracy, by z niedość karną swą armią wyjść obronną ręką: to też osiągnął ten rezultat z wielkiem zadowoleniem publiczności. Dawniej słyszeliśmy to dzieło grane przez berlińską orkiestrę; wspomnienie to nasuwało nam mniej korzystne dla naszej orkiestry porównanie, i dawało uczucie braku, szczególnie w stopniowaniu siły i akcentacjach rytmicznych, tak subtelnie charakteryzujących to dzieło. Zakończenie koncertu stanowiło wykonanie symfonii C. Dur. op. 61. Schumanna. Kompozytorka ta, dość powikłana w ciemnych pomysłach marzycielskich, w jednej tylko części, t. j. w Andante, swą treść cokolwiek rozwidnia; jeśli jej więc nie rozpląće zdolny zmysł intuicyjny dyrygent, staje się w wykonaniu ciężką, nużącą i niezrozumiałą. W Allegro pierwszym zauważyliśmy właśnie ten brak odczucia myśli autora, przez co część ta wiele utraciła, inne części bez porównania lepiej były wykonane.

W handlu księgarskim ukazały się świeżo wydane dwie małe szkoły, fortepianowa i skrzypcowa, ułożone przez pana Noskowskiego. Pan Noskowski, idąc zapewne za duchem czasu, który bardzo wiele wagi przywiązuje do wszelkich pedagogicznych zabawek, mających stanowić jakoby przygotowanie do poważniejszej i poważnie prowadzonej nauki, powziął myśl zebrania treściwie, a jednak dokładnie początkowych wiadomości teoretycznych, i zastosowania ich w przyjemny sposób w praktyce; ztąd powstał przystępny dział teoretyczny i zbiór sztuczek bardzo zgrabnie opracowanych. Wszelako w nauce muzyki, oprócz opanowania się z teorią i wyrobienia smaku, trzeba baczną zwrócić uwagę na prawidłową technikę, która już w żadnym razie sposobem zabawki nie da się wyrobić, lecz tylko cierpliwem, powolnem systematyzowaniem odpowiednich ćwiczeń. Otóż w szkole fortepianowej p. Noskowskiego ćwiczeń jest zamało, wskazówki w tekście są mniej niż niewystarczającymi, albowiem zbyt nagłe, pośpieszne przeskakiwanie do coraz-to większych trudności dla małej ręki, jak: branie dźwięków poza granicami pięciu klawiszy lub podwójnych dźwięków, może z łatwością powykrzywiać układ palców; ztąd wypływa, że szkołka ta, bez równoczesnego przeprowadzenia całej seryi dobrych ćwiczeń nie może mieć korzystnego zastosowania w nauce gry na fortepianie. Przykro nam, że nie możemy tej nowej publikacji powitać z uznaniem, lecz zawiłe zdarzało nam się widzieć młodzieży podobnym systemem zabawki niby to przygotowanej do dalszych studyów; byli to uczniowie, z których późniejsza systematyczna nauka i sumienna praca dobrych nauczycieli już nie zdołała uczynić.

Co do szkoły skrzypcowej, opierając się na zdaniu specjalistów, oraz na porównawczem rozpatrzeniu się w innych dziełach tego rodzaju, doszliśmy do przekonania, że grzeszy ona również brakiem systematyczności. Autor w przedmowie wspomina, że jego szkołka ma stanowić przygotowanie do dzieła Władysława Górskiego, w którym cała część pierwsza zawiera tylko ćwiczenia odnośne do pierwszej pozycji; pan Noskowski doprowadza ucznia do siódmej, a w rzeczywistości do dziewiątej pozycji, dodając ćwiczenia we wszystkich tonacjach, które możnaby dopiero grać studyując równocześnie szkoły Spohra lub Lipińskiego; chyba więc szkoła p. Górskiego ma być przygotowaniem do dzieła p. Noskowskiego a nie odwrotnie. W małej szkółce na skrzypce dla dzieci i początkujących powinniśmy byli znaleźć więcej starania o gruntowną podstawę gry, o wyrobienie słuchu, którym nie może tak bardzo pochwalić się młodzież nasza; tymczasem w gwałtownem gromadzeniu się pobieżnie traktowanych ćwiczeń, dających obraz prawie całkowitej, chociaż nie gruntownej, techniki, nie możemy spostrzedz celu, do którego dążył autor.

Czyż nie byłoby lepiej, ograniczywszy się w ciśniejszych ramach, bardziej wyczerpująco tę szkołę opracować, by naprawdę mogła stanowić przygotowanie do nauki ściślejszej; a zamiast tej wielkiej liczby tak dobrze znanych, lecz zbyt popolitych skocznych piosenek, na których nic się nie nauczy, i których nawet porządnie zagrać początkujący uczeń nie zdoła — dać więcej łatwych i racjonalnie pomysłanych ćwiczeń i przykładów szerokiego śpiewu, kształcących siłę i czystość tonu?

Juljusz Statler.

## ECHA Z CZECH.

Korrespondencya damy czeskiej z XVII wieku, Zuzanny Czerninowej z Harasowa. — Publikacya Fr. Dworskiego. — Kobiety czeskie. — Honorata z Wiśniewskich Zapowa. — Polka między Czeskami. — Wspomnienia pani Podlipskiej. — Czeski w Ołomuńcu. — Morawskie patryotki. — Pani M. Prohazkova. — Dwa czeskie pisma dla kobiet na Morawii. — Narodni divadlo. — Polacy artyści na czeskiej scenie: pani Arkłowa, p. Floryański, panna Sławińska. — Zjazd Sokołów w Pradze i zaproszenie.

Jedno poprzednie nasze *Echo z Czech* mieściło wzmiankę, że nieznużony badacz czeskiej przeszłości Francisek Dworski, ma zamiar wydać korespondencyą znakomitej damy czeskiej z połowy XVII wieku, Zuzanny Czerninowej z Harasowa. Dziś możemy z przyjemnością donieść czytelnikom, że książka ta nareszcie opuściła prasę, a niniejszy nasz list poznamy ich w krótkości z jej treścią.

Listy wspomnianej p. Zuzanny Czerninowej uważamy za jedną z najciekawszych publikacji nowożytnej literatury czeskiej. Jest to bardzo cenny spadek szczęśliwej przeszłości naszej, książka nad którą zastanowić się powinien każdy poważny czytelnik. Szlachetnie piękny to jest głos, odzywający się z poufnej korespondencyi rodzinnej tej pani, którą mamy prawo uważać za przedstawicielkę ówczesnego prawego, istotnego towarzystwa czeskiego, którego była zapewne niepoślednią ozdobą. Szczególnie uderza tu uczucie głębokiej moralności — wyraz przekonania narodowych pełen godności i podniosłości wrodzonej, niezachwianej jeszcze wpływami obcymi, które szczególnie po fatalnej bitwie pod Białą Górą, demoralizacyjnie gospodarowały w kraju. Czytając listy Czerninowej, widzimy przed sobą kobietę wielkiego serca, uczucie delikatnych, pełną enót towarzyskich i patryotycznych. Mikość jej do wszystkiego, co swoje, nie ma granic, ztąd ton jej listów nad wyraz tkliwy i serdeczny. Czeszka to prawdziwa, nieustrascona jeszcze w prąd obcego życia, nieporwana wpływami wynaradawiającymi, daje nam poznać w listach swoich, jak wyglądała czeska rodzina szlachecka z owych czasów, jakie były zasady jej życia wewnętrznego, narodowego i etycznego. Pobożna, delikatna, łączy z myślą wyższą poglądy praktycznej gospodyni, wiążąc to w harmonijną całość rzadkiej piękności. Z dumą powiedzieć można, że taką była pani czeska, że tak czuła, myślała, działała i kochała.

A czem dla niej jest jej kraj! Niema na świecie piękniejszego, lepszego kraju, niema na świecie ludu, któryby trzeba i można było więcej kochać, niema nic słodsze dzwicznieszego nad język czeski! Do wszystkiego, co swoje i czeskie, tak była przywiązana, że poza obrębem czeskiej atmosfery nie znajdowała szczęścia.

A trzeba dodać, że Czerninowa należała do wyższej, wybitniejszej w kraju arystokracji, której ród do dziś dnia zajmuje niepoślednie stanowisko wśród szlachty austriackiej. Niestety, potomkowie tej zacnej pani siedzą dziś w Wiedniu i piękne panie z tego rodu ani nie mają pojęcia o języku, który tak gorąco kochała i którym tak świetnie władała ich prababka. Istotnie, i co do języka listy Czerninowej są klasycznym skarbem piśmiennictwa naszego: język to pełny, silny obok łagodności i delikatności.

Wszystko to zasługuje na tem wyższy szacunek, gdy zważymy, że Czerninowa żyła w tych już czasach, gdy gwiazda czeskiego życia gasła. Naokoło niej, wśród wyższego towarzystwa czeskiego, poczęły już rozszerzać się obce zwyczaje, obcy język, obce pragnienia i lekceważenie swojskości—to wszystko, co stało się naszą klątwą narodową pod jarzmem uciskającym naród przez lat dwieście, i z pod którego do dziś dnia naród ten w zupełności się nie wydostał.

Słowem, listy Czerninowej są silnym, dosadnym protestem przeciw potwarzom miotanym przez Niemcy na Czechy i ich układ społeczny. Wprawdzie czytanie ich musi wywierać na czytelnika znajomego ówczesne stosunki smutne, przygnębiające wrażenie, bo Czerninowa pojawia się już samotnie, jako ostatnia gwiazda lepszej przeszłości...

Nawet własny syn po śmierci tak znakomitej matki tonie w falach niemych i na głowę jego rzucona zostaje klątwa narodu, bo stał się z niego—nikczemnik, renegat! Wbrew staraniom matki, ożenił się z Niemką, tułał się po świecie, nareszcie osiadł w Wiedniu, gdzie wkrótce zapomniał, że urodził się kiedyś w Czechach. Podobną drogą szły współczesne mu wyższe warstwy narodu. Co szlachetniejsze, wyginęło, przepadło wśród prześladowania, zubożało i straciło wpływ na społeczeństwo, a słabsze, lichsze resztki, pozostawione bez wzoru i przewodnictwa, rozpasowały się, zapomniały, z kąd wyszły, straciły samowiedzę narodową...

A kobiety po wymarciu takich matron, jak Czerninowa? Przez sto i więcej lat niema wśród ciężko prześladowanego narodu ani jednej pani czeskiej! Są tylko renegatki, gardzące językiem ojców i matek swoich i które wychowują też pokolenia młode takiej, jak one, wartości.

Następuje więc taki upadek narodowy, jakiego trudno znaleźć w dziejach nowożytnych społeczeństw.

Na początku naszego wieku zajaśniała nowa jutrzienka czeskiego życia. Z ogromnym, niedoścignanym jeszcze i mało gdzieindziej spotykanym trudem i wysiłkiem woli nieugiętej rozpoczęła się istotnie heroiczna praca nad odrodzeniem Czech. Wskrzesiciele nie zapominali o kobietach; brak kobiety, kobiety inteligentnej, kobiety wyższego towarzystwa był wielką zaporą w dążeniu do celów dźwignienia się z upadku. Wynarodowienie się Czech tak było już głębokie, tak zakorzeniła się już obcość, że niesłychanie trudno było znaleźć właśnie między kobietami klas inteligentnych, potrzebne czynniki współdziałające z nowym ruchem—kobiety takie któreby z przekonania i z uczuciem, z zapałem chciały iść ręką w rękę ze wskrzesicielami Czech.

Aż oto wśród nadzwyczaj małej garstki patryotycznych kobiet tej nowej epoki Czech zjawia się szczęśliwą łaską losu szlachetna Polka, górująca wszystkimi temi cnotami, których brak w kobiecie czeskiej był klęską narodową. I nie próżnuje ona—o! nie! Zajmuje wpływowe stanowisko i pracuje na niem, działa, a tą świętej pamięci kobietą to żona czeskiego literata, Honorata z Wiśniewskich Zapowa, prawdziwy ideał niewiasty z uczuciem i wykształceniem.

Wywołał się tu jej wspomnienie, nie dla tylko, że żyje ono dotąd w pamięci naszego ogółu i wiąże się ściśle z epoką, której tutaj dotykamy. Właśnie niedawno p. Zofia Podlipska (matka żony Vrchlickiego), w najnowszych zeszytach „Słowiańskiego Sbornika“, zamieściła o niej osobiste swe wspomnienia zatytułowane: *Polka między Czeskami*. Praca p. Podlipskiej jest pięknie, sympatycznym piórem skreślona, wykazuje, jaką została po sobie pamiętkę Polka, wśród Czechów. Życie ś. p. Honoraty Zapowej nie może być nieznanym naszym czytelnikom; pisaliśmy o niem w „Echach z Czech” i dodajemy dziś tylko, że wymieniona autorka wspomnień w blizkich i serdecznych była stosunkach z p. Honoratą. P. Podlipska przed więcej niż 30 laty, więc w wieku dorosłej kobiety, brała lekcje języka polskiego u Honoraty Zapowej.

Skoro już rozgawędziliśmy się o kobiecie czeskiej, należy nam nie pominąć na szcze-

gólny szacunek zasługujących kobiet, które pracują nad postępem spraw ojczystych w Ołomuńcu na Morawach. Garstka wykształconych szlachetnych pań, iście czeskich, podtrzymuje tam bardzo usilnie, bardzo czynnie wszelki narodowy ruch, nietylko w samym Ołomuńcu, który dotąd walczy z nawałem germanizacji, ale i w okolicach. Praca ta pocziwa wydała już niejeden owoc dobry i jasno świeci wśród życia towarzyskiego na Morawach. Niema jednego ważniejszego przedsięwzięcia narodowego, w którym-by panie ołomuńskie nie odgrywały roli, nieraz rozstrzygującej. Tak, na przykład, dobra organizacja ludowych zabaw i zjazdów morawskich, przyczyniających się niemało do obudzenia ducha narodowego, zawdzięcza połowę swego powodzenia kobietom tamtejszym. Rozwijają one istotnie czynność gorączkową nie cofają się przed żadną pracą ni trudem, jak tego niejeden już jest dowód. Gdy Czesi podjęli w Pradze uorganizowaną przed trzema laty gromadną wycieczkę do Krakowa, zatrzymano się też na parę godzin w Ołomuńcu. Panie miejscowe skorzystały z tej sposobności i przyjęły czeskich pielgrzymów w sposób wzruszający i zadziwiający razem. „Zniemczyły Ołomuńiec” zasypał wtedy 1,400 pielgrzymów czeskich dążących do Krakowa literalnie kwiatami. Była to czeska demonstracja w „niemieckim” mieście, jakich widuje się mało, a że się udała, niemała to zasługa pań.

Mówiąc o paniach ołomuńskich, wypada przedewszystkiem wymienić panią Miłostawę Prohazkową. Wydaje ona własnym kosztem i pod własną redakcją dwa piśmka poświęcone wyłącznie sprawom kobiet czeskich, mianowicie: *Domaci hospodynie* i *Nasz kraj*. „Domaci hospodynie” jest to mały miesięcznik; zajmuje on na Morawie niby to samo stanowisko, co prazkie „Żeńskie listy” redagowane przez zasłużoną i wielce utalentowaną Elізskę Krasnohorską. Piśmko to odznacza się odpowiednim duchem, treść jego piękną jest i praktyczną. Drugie pismo p. Prohazkowej, *Nasz kraj*, ma za cel rozpowszechnić i spopularyzować *motywa* narodowych ubrań czeskich, w szczególności wyszywania, które w istocie na uwagę zasługują. Wyszywanie ludowe na Morawii uderza rzeczywistością swoją pięknosciami. Jest to sztuka ludowa, ornamentyka czysto narodowa, która zresztą i niedawno w Wiedniu na wystawie wielkiego doznała powodzenia. Otóż celem p. Prohazkowej, jest: budzić zainteresowanie względem sztuki ludowej i przystosowywać ją do tegoczesnych ubiorów. Do tego właśnie służyć ma *Nasz kraj*; czy dobra chęć przy niesie owoce—przyszłość pokaże.

Niewieścia literatura na Morawii wkrótce zubożona będzie „Kalendarzem dla czeskich pań”, który wyjdzie pod redakcją V. Hübnera, jeszcze w końcu tego roku w Brnie. Pomiędzy innymi artykułami znajdować się tam będzie opracowane życie i działalność księżny Maryi z Czarotoryskich Wirtemberskiej, autorki „Malwiny”.

Z kolei nasuwa mi się pod pióro sprawa mogąca zainteresować czytelników. *Divadlo narodni*, które tak często bywa przez Polaków nawiedzane, nieradko miewa i wśród trupy swej Polaków. Polska mowa brzmi też często na pierwszej scenie czeskiej. W obecnej chwili posiadamy nawet trzy polskie siły, z których jedna bardzo wybitnie zajmuje stanowisko. Od pół roku zaangażowana tu śpiewaczka lwowska p. Arkłowa gościnne swoje występy w Pradze jednocześnie rozpoczęła z królem tenorów Mierzwińskim. Pani Arkłowa bardzo się w Pradze podoba i wielkie ma powodzenie. W niektórych operach śpiewa poczesku, w innych popolsku. Wkrótce potem usłyszeliśmy również członka lwowskiej opery, p. Floryńskiego, tenora, który niedawno występował gościnnie w Warszawie. Na koniec zostawim coś najcenniejszego! Wkrótce ma tu przyjechać sławna pani Sembrich-Kochańska. Ceny miejsc cztery razy będą podwyższone... Zresztą wypada jeszcze zanotować, że w tym miesiącu wznowiono w repertoarze Narodniho Divadla *Holkę* Moniuszki. P. Arkłowa i Floryński śpiewali popolsku; opera sama miała wielkie powodzenie.

Nawiasem nadmieniamy, że trzecią polską siłą czeskiego „Divadla” jest panna Sławińska, występująca w dramatach i komediach. Włada ona językiem czeskim doskonale i żadnej trudności nie czyni jej mowa doskonała. Szersze koła publiczności nie uważają ją nawet za Polkę, bo zaklimatyzowała się w Czechach prawie zupełnie. Mimo to panna Sławińska nigdy nie przestała być dobrą Polką.

Na zakończenie niniejszego listu wypada jeszcze zwrócić zawczasu uwagę czytelników na wielki zjazd wszystkich Sokolów czeskich, mający się odbyć w Czerwcu następnego roku. Będzie to uroczysty obchód 25-letniego trwania tej sympatycznej instytucji czeskiej. Życzyć sobie wypada, aby w niej też Polacy i Polki udział wzięli, czego Sokolowie czescy gorąco pragną. Będzie to uroczystość charakteru czysto narodowego, wielkiego rozmiaru—i doprawdy, warto będzie przyjechać wtedy do Złotej Pragi. Stowarzyszenie czyni już teraz rozległe przygotowania. Co do funduszu, to ich nie zbraknie: Sokolowie mogą rozporządzać summą 25,000 guldenów. Właśnie w tych dniach rozsyła komitet urządzający uroczystość osobne zaproszenie (popolsku zredagowane), z którego pragniemy tutaj przynajmniej parę ustępów przytoczyć. Otóż czytamy w tej odezwie: „Wszystkich nas zrodziła jedna pamiętna doba gorącego pragnienia równości i wolności narodów. Stanęliśmy i w potężny skupiliśmy się zastęp, aby pielęgnowaniem siły cielesnej i zdrowia zachować naród nasz w czerstwości i mocy, broniącej plemiona od upadku i aby też wzmocnieniem dzielności ciała utwierdzić ducha i wzmocnić jego moralne podwaliny. Tam, dokąd inne, nigdy pętami nie krępowane narody, losem szczęśliwym przed nami zdążyły, tam, i dalej jeszcze, cel nasz wspólny sięga. Nie małe to, co prawda, lecz wszelkich wysileni godne zadanie: miękkie i uległe natury słowiańskie przetworzyć na duchy harde, iżby podolały zapasom z miemieckim żywiołem twardym i opornym.. Przy sposobności obecnego dwudziestopięciolecia zamierzamy dalszą działalność naszą poświęcić obchodem pamiątkowym mianowicie urządźć *Zjazd wszystkich Sokolów*, zapraszamy was, Sokolów Polskich, na Igrzyska Sokole do naszej złotej, królewskiej Pragi... z upragnieniem otwieramy ramiona, aby przygarnąć was do serca, które zawsze gorąco dla was bije... Do miłego widzenia! *Na zdar!*”

Edward Jelinek.

## Z DZIAŁU PRZYRODY.

### Z kroniki najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Przebiecie tajemniczych ciał czarnych przed tarczą słoneczną.—Piorun w fabryce Gobelinów.—Promieniowanie nocne w czasie pełni księżycowych przyczyna szkód w rolnictwie.—Jak należy obchodzić się z lampami naftowymi?—Stosunki zachodzące między ozonem a epidemiami.—Sposób wytopienia szkodliwych gruntem skrzypów.—Korzyści wynikające z żywienia inwentarza żywego pokarmami gotowanymi.—Zbadanie Afryki równikowej, przez panów Capello i Ivens'a.—Podróż Brazylji do Afryki. Nowo-wykryte źródła Mississipi.—Obelisk Waszyngtona.—Waselina zastępująca masło.

(Dalszy ciąg).

Fryderyk Abel zbadał przyczyny licznych eksplozyi, jakim ulegają płyny lotne, palne, lecz same przez się nie wybuchowe, do jakich należy nafta.

Szacowne są wielce jego rady w przedmiocie obchodzenia się z lampami naftowymi, i gdybyśmy się do nich stosowali, uniknęlibyśmy wielu smutnych wypadków.

Gdy lampa naftowa jest niecałkowicie zapełnioną płynem, gromadzą się ponad nim w zbiorniku pary, które pomieszane z powietrzem w pewnych warunkach wytwarzają mieszaninę wybuchową; poruszając lub przenosząc zbyt gwałtownie lampę niezupełnie wypełnioną naftą, narażamy się

na to, że część mieszaniny gazowej może ująć z lampy, zetknąć się z jej płomieniem i wywołać eksplozję mieszaniny pozostającej w zbiorniku. To ujęcie gazu może nastąpić przez brener, jeżeli knot nie dość szczelnie przystaje do niego, lub przez otwory osady otaczającej brener. Tenże sam wypadek może nastąpić, jeżeli lampę ustawiono na drodze prądu powietrza, lub gdy ją gasimy dmuchnięciem w cylinder szklany. W tym ostatnim razie wprowadzamy powietrze do lampy, a jednocześnie wstrząsamy płomieniem, który może dostać się do zbiornika. Eksplozja jest tem silniejszą, im mniej płynu jest w lampie, a temsamem, im mieszanina gazowa w większej ilości się objętości.

Rozgrzanie lampy płomieniem przez obniżenie nadmierne kłota sprzyja również eksplozji, i rzecz osobliwsza, że rozgrzanie to najgroźniejszym jest dla płynów mniej lotnych, które palą się wytwarzając więcej ciepła.

Potrzeba niemniej zważać na naturę kłota; powinien on być z tkanki porowatej, sprzyjającej działaniu włoskowatości. Jeżeli tkanina jest zbyt ściśłą, włoskowatość staje się mniejszą, płyn wciągany bywa z trudnością, knot zwęglą się, a wszystko to przyczynia się do rozgrzania lampy, a więc do ewentualnej eksplozji.

Wilgotność kłota również utrudnia działanie włoskowatości. W rezultacie potrzeba zachować ostrożności następujące:

1) Zbiornika używać metalowego, szczelnie przystającego do osady z brenerem, aby mieszanina gazowa w razie jej sformowania się, nie napotkała żadnego otworu, przez któryby ujęć mogła.

2) Zważać na to, aby knot był z tkanki porowatej wyrobionym i szczelnie osadzonym w brenerze a z drugiej strony nie zbyt ściśłym. Powinien być przytem najzupełniej suchym; knot wilgotnego w żadnym razie zasadać nie należy. Dosięgać on winien dna zbiornika, lecz nie być nadmiernie długim, wreszcie zanurzać się on ma w płynie przynajmniej do trzeciej części głębokości zbiornika.

3) W chwili zapalania lampy, zbiornik powinien być zawsze całkowicie zapełniony naftą.

4) Gasząc lampę potrzeba zwolna zniżyć knot a następnie zadmuchać płomień po zdjęciu cylindra w kierunku poziomym a nie pionowym, jak to zwykle ma miejsce. Gaszenie płomienia silnem dmuchnięciem w cylinder bez poprzedniego obniżenia kłota, zagraża możliwą w tym razie eksplozją. Każdy z nas powinien zapisać głęboko w swej pamięci te środki ostrożności, będące rezultatem spostrzeżeń angielskiego fizyka, znanego z wielu prac cennych. Każdy z nas powinien z tych rad korzystać i zastosować je u siebie w domu. Gdybyśmy przeciw nim nie wykraczali, — a przyznać trzeba, że wykraczamy codziennie z całą nieogłębnością, — nie byłoby tylu wypadków kalectwa i utraty życia, wynikających z nieostrożnego obchodzenia się z lampami naftowymi.

Stosunki zachodzące między ozonem powietrza czyli tlenem zelektryzowanym, a cholera, uwidocznione zostały przez doświadczenia Onimus'a. Okazał on, że nieobecność ozonu sprzyja szerzeniu się epidemii i przeciwnie, że istnienie ozonu w atmosferze, zwłaszcza jeżeli ten utrzymuje się w mniej wysokim stosunku, pochód cholery powstrzymuje.

Z terapeutycznego punktu widzenia potrzeba przyznać że jakkolwiek trudnem jest otrzymanie ozonu gazowego, to jednak metodą Beck'a pozyskuje się łatwo ozon w stanie płynnym; mógłby on zatem ludzkości oddać niemałe usługi.

Doświadczenia odbywane przez Onimus'a na człowieku i zwierzętach udowodniły, że ozon przyjęty nawet w silnej dawce nie wywiera na organizm żadnego szkodliwego wpływu. Działanie jego nieco przedłużone, ujawnia się głównie w centralnym systemacie nerwowym, którego rozdrażnienie ozon uspakaja.

Z doświadczeń ozonicznych Onimus'a skorzysta zapewne medycyna.

Licznymi doświadczeniami sprowadzono, że zwierzęta lepiej odżywiają się i tuczą pokarmami gotowanymi, niż surowymi. Wyższość pożywienia gotowanego uznana powszechnie została, nawet biorąc w rachunek kosztu gotowania, rozumie się w zwykłych warunkach, to jest, gdy materia opałowy nie dosięga zbyt wygórowanej ceny.

Z doświadczeń odbytych w roku bieżącym na koniach karmionych owsem gotowanym okazało się, że pół racyi tego owsa dawało tyle siły zwierzętom, ile cała racya owsa surowego.

W rzeczy samej, wszelaki pokarm gotowany jest lepiej trawionym i assimilowanym od tego samego pokarmu w stanie surowym, co zresztą każdemu łatwo przyjdzie sprawdzić. Dowodem tego napoje gorące, zacieru dawane krowom mlekodajnym, rozgotowana mąka, warzywa, ziemniaki, które wpływają dzielnie na utuczenie wołów karmnych, trzody chlewnej i drobiu.

W tej mierze agronom angielski Dudgeon odbył godne uwagi doświadczenia. Z jedenastu wieprzów żywionych łupinami bobu i ziemniakami sześć otrzymywało pożywienie gotowane, a pięć w stanie surowym. Po upływie stu dni sześć pierwszych wieprzów zyskało na wadze 89 funtów, pięć zaś pozostałych tylko 49 funtów.

Ze swej strony Walker, uczony chemik i członek Angielskiego Towarzystwa Rolniczego, dziś już nieżyjący, poddał tym samym doświadczeniom dziesięć świń młodych, karmionych ziemniakami i tłuczonym jęczmieniem. Pięć świń otrzymywało ten pokarm gotowany i te w ciągu trzech miesięcy zyskały na wadze 173 funtów, pięć zaś drugich świń żywiono tym pokarmem w stanie surowym, i te zyskały na wadze tylko 115 funtów.

Tak wielka różnica w powyższych liczbach, aż nadto wynagradza koszt gotowania, aby zaś te oile można zmniejszyć, potrzeba wybrać tego rodzaju przyrządy posługujące do gotowania, któreby zużytkowywały całe ciepło wytworzone przez materia opałowy. Do takich należą kotły zawieszane i kołyszące się, które łatwo przychodzi zapełnić lub wypróżnić, za naciśnięciem ramienia lewaru. W gospodarstwach zaopatrzonych w lokomobilę przyrząd parowy może posłużyć do powyższego użytku. We Francji do gotowania pokarmów dla inwentarza żywego używają kotłów osadzonych do połowy ich wysokości w piecu.

Dwaj znani wędrowcy portugalscy, pp. Brito-Capello i Ivens, odbyli nową podróż do Afryki. Wyruszywszy z pobrzeża zachodniego przerzucili się na brzegi wschodnie; zwiedzili olbrzymią rzekę Kongo, jej dopływ Lualaba oraz rzekę Zambezi.

Podróż ta przyniosła cenne zdobycze naukowe, równie jak poprzednia, przez nich odbyta w kraju Amgola.

Część Afryki równikowej, jaką przebiegli, była dotąd bardzo mało znaną; spostrzeżenia też tych śmiałych podróżników, uzupełniając dawniejsze, dają nam poznać kraj, oddawna prawie całkiem

nieznany a ze wszech miar godny uwagi. Na jednym z ostatnich posiedzeń Lizbońskiego Towarzystwa Geograficznego Capello i Ivens odczytali sprawozdanie ze swej podróży.

(Dokończenie nastąpi).

**Komitet Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskim** podaje do wiadomości pp. artystów, iż w zastosowaniu się do regulaminu dorocznej *Wystawy konkursowej*, Wystawa pomieniona w roku przyszłym 1887 trwać będzie od 15 Stycznia do końca Lutego.

Do przyjęcia na Wystawę kwalifikują się następujące przedmioty:

Z dziedziny *Malarstwa*: obrazy olejne, akwarelle, pastele, kartony i rysunki.

Z dziedziny *Rzeźby*: wszelkiego rodzaju dzieła rzeźby, bez względu na materia, tudzież wyroby medalierskie.

Nie kwalifikują się na Wystawę: a) wszelkie kopie; b) dzieła artystów zmarłych na rok przed otwarciem Wystawy.

Każdy z wystawców ma prawo wystawić jednocześnie dwa swoje dzieła. Za jedno dzieło uważane będą rysunki, ujęte w jedną ramę. Dzieła dla oddziału *Malarstwa* mają być w ramach. Na wystawę przyjmują się dzieła wykonane w ciągu lat 3-ich ostatnich, które poprzednio nie znajdowały się czy-to na Wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, czy też na innej wystawie w Warszawie.

Dzieła przeznaczone na Wystawę konkursową powinny być przysłane pod adresem Komitetu Towarzystwa: (Warszawa, Krakowskie Przedmieście N 15) najpóźniej 31 Grudnia do godz. 6 wieczorem.

Dzieło przyjęte na Wystawę pozostawać na niej będzie do czasu jej trwania i przed upływem tego terminu nie może być z niej wycofanem.

Przesyłający dzieło na Wystawę obowiązany jest nadesłać przed 15 Grudnia pod adresem Komitetu deklaracyą z wypisaniem treści dzieła, ceny, swojego adresu i krótkiej autobiografii (kiedy i gdzie się urodził i gdzie się kształcił w sztuce).

Nagrody przyznawane będą, nie za dzieła najlepsze z nadesłanych, lecz za dzieła bezwarunkowo odznaczające się.

W każdym z działów *Malarstwa* i *Rzeźby* przyznane być mogą po dwie nagrody: większa rs. 150, mniejsza rs. 75 w złocie, z funduszków Towarzystwa.

## Sprostowanie.

W Nr 45 „Bluszczu“ w utworze poetycznym „Powrót pieśni“, zaszły pomyłki drukarskie, a mianowicie:

w strofie 4 wierszu 5	zamiast w chaosie,	ma być: w naturze
„ „ „ 6	„ w naturze,	„ w chaosie
„ 5 „ 4	„ słoneczną,	„ odwieczną
„ 15 „ 7	„ poziomem	„ piorunem
„ 19 „ 3	„ I ze	„ że ja
„ „ „ 4	„ że	„ I

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 7-my powieści pod tyt.: *Jaskółka*, przez Remigiusza Gourmont.

**TREŚĆ.** Pogawędka. — Notatki pedagogiczne. — Gasnąca dusza, powieść, (dalszy ciąg) przez M. Gawalewicza. — Ruch muzyczny, przez Jul. Stattlera. — Echa z Czech, przez Edw. Jelinka. — Z działu przyrody, (dalszy ciąg), przez W. Niewiadomskiego.

**Dodatek obejmuje:** Arkusz 7-my powieści pod tytułem: *Jaskółka*, przez Remigiusza de Gourmont. — 28 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.  
Варшава, 5 Ноября 1886 года.